



**Kochane
Lato z Radiem**
Roman Czeżarek





Pierwsza audycja *Lata z Radiem* została nadana 1 lipca 1971 roku. Jej pomysłodawcą był Aleksander Tarnawski, twórca również *Sygnatów Dnia* oraz *Czterech Pór Roku*. Ten pierwszy program był bardzo krótki i w niczym nie przypominał późniejszych wydań *Lata z Radiem*. Nowa audycja była po prostu piętnastominutowym przeglądem wydarzeń w Polsce podczas wakacji. Szczerze mówiąc, poza nazwą nie było w tym niczego odkrywczego i pewnie z tego powodu pierwszy program nie zapisał się specjalnie w radiowej historii. Nie zachowały się żadne nagrania, co więcej – nie wiadomo nawet, kto ten program poprowadził. W 1972 roku *Lata z Radiem...* nie było. Aleksander Tarnawski miał jednak niezwykły radiowy instynkt i czuł, że w samym pomysle tkwi spory potencjał. Trzeba tylko coś z nim zrobić.



☐ Rok 1976. Zespół *Lata z Radiem*. Od lewej: Aleksander Tarnawski, Andrzej Jaroszewski, Sławomir Szof, Tadeusz Szuk i Mieczysław Marciniak.

W 1973 roku *Lato z Radiem* wróciło na antenę Jedynki, ale w zupełnie zmienionej formie. Tym razem było nowym wielogodzinnym pasmem pełnym przebojowych piosenek z różnych krajów, krótkich wakacyjnych informacji oraz ciekawostek. By zrobić na słuchaczach wrażenie łączności

z całym światem, zdecydowano się na nagranie charakterystycznego sygnału wraz zapowiedziami w kilku różnych językach. Oczywiście z wiadomych względów pierwsza zapowiedź była po rosyjsku, dalej kolejno pojawiały się inne „bratnie” języki sąsiednich krajów (wtedy ładnie mówiono: „demokracji ludowej”), między innymi czeski i niemiecki. Na koniec znalazło się jednak miejsce dla francuskiego oraz angielskiego. Krótka emitowana była również wersja z językiem esperanto, lecz szybko z niej zrezygnowano. W tle zapowiedzi słychać było graną na klawirze polkę *Dziadek*.



☐ To studio nazywano „klatką słowiczą”. Na zdjęciu po lewej stoi Mieczysław Marciniak, siedzą Tadeusz Sznuć oraz Andrzej Matul.

Nowy sygnał błyskawicznie przypadł słuchaczom do gustu. Polka *Dziadek* stała się na zawsze znakiem rozpoznawczym nie tylko *Lata z Radiem*, ale i całego Polskiego Radia. Gdy w latach dziewięćdziesiątych

zrobiono specjalne badania, okazało się, że jest bardziej popularna niż grany w południe w Jedyńce hejnał z wieży mariackiej w Krakowie oraz emitowany o północy *Mazurek Dąbrowskiego*, czyli hymn Polski! To pozwoliło uchronić ją przed zakusami kilku dyrektorów, którzy na fali zmian chcieli skasować polkę *Dziadek* raz na zawsze. Co ciekawe, do dziś nie udało się jednoznacznie ustalić autora tego słynnego nagrania. Wiadomo tylko, że jest to dziewiętnastowieczna tradycyjna melodia z pogranicza Polski i Czech. Wbrew pozorom jest trudna do wykonania i tylko prawdziwi mistrzowie potrafią ją zagrać bez większych pomyłek. Proszę zresztą sprawdzić, jakie to skomplikowane. Czy ktoś z Państwa jest w stanie bezbłędnie zanucić ten sygnał? Ale nie kilka pierwszych nut, tylko minimum piętnaście, dwadzieścia sekund? Ano właśnie... Trudne, prawda? Kiedyś robiliśmy nawet specjalny test, prosząc goszczące w studiu gwiazdy muzyki rozrywkowej, by zrobiły to przed radiowym mikrofonem. Właściwie wszyscy się poddali. Bez wpadek zrobili to tylko dwie wokalistki: Urszula Dudziak i Maryla Rodowicz. Od Maryli zacniemy więc za chwilę naszą opowieść.

Receptą na wielki sukces *Lata z Radiem* 1973 było to, że po raz pierwszy w historii Polskiego Radia zdecydowano się nadawać taki program naprawdę na żywo. Dotąd wszystko było wcześniej nagrywane i montowane. Nawet bardzo popularny wtedy kultowy program *Muzyka i Aktualności*, o którym wszyscy słuchacze myśleli, że jest robiony na żywo, w rzeczywistości był rejestrowany z wyprzedzeniem i sklepany z kilku różnych odcinków. Prawdziwy „żywy” program wydawał się wielu redaktorom nie do zrobienia. Po pierwsze ze względu na ciągle prymitywną radiową technikę, po drugie z powodu konieczności cenzurowania wszystkiego, co trafiało na antenę. Tarnawski postanowił zaryzykować i okazał się skuteczny w przekonaniu najważniejszych szefów, by wyrazili zgodę na taki eksperyment. Co więcej, wpadł na pomysł, by w czasie audycji spróbować łączyć się telefonicznie ze słuchaczami i pozwolić im na swobodne wypowiedzi na antenie! W 1973 roku była to sensacja i... nieprawdopodobne ryzyko. Za każdą antenową polityczną wpadkę Tarnawski i jego podwładni mogli zapłacić głową, czyli utratą jakichkolwiek szans na dalszą radiową karierę.

Trudno w to uwierzyć, ale przez wszystkie te lata żaden ze słuchaczy, będąc już na radiowej antenie, nie naruszył zasady gry i nie powiedział niczego niepoprawnego. Z najgroźniejszych sytuacji dawni koledzy




☐ Lipiec 1973 roku. Audycja z plaży w Kołobrzegu. Od lewej: Andrzej Jaroszewski, Mieczysław Marciniak, Piotr Sadowski, Grzegorz Dziemidowicz i Tadeusz Łączyński.

wspominają chwilę, gdy jeden z telefonicznych rozmówców zakończył rozmowę zaskakującym „szczęść Boże”, na co prowadzący audycję, wykazując się refleksem, natychmiast odrzekł lekko żartobliwym tonem „Bóg zapłać”. W tym wypadku skończyło się na szczęście tylko na pogroźeniu palcem przez wszechwładnego prezesa Radiokomiteu, ale poza tym nic się nie stało. Wszyscy powinniśmy być ówczesnym słuchaczom bardzo wdzięczni. Gdyby ktoś zaryzykował i, korzystając z „żywej” anteny, rzeczywiście zrobił coś wbrew ówczesnej propagandzie, *Lata z Radiem* z pewnością dawno by już nie było. Ale na szczęście nic takiego się nie stało i audycja trwa w najlepsze.

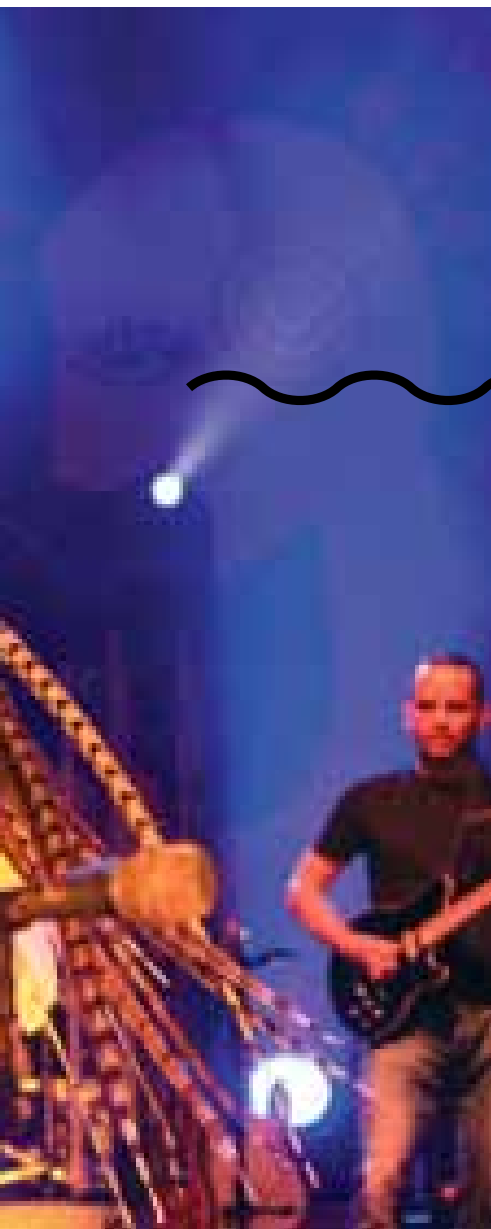
Aleksander Tarnawski odszedł z Jedyńki wraz z falą zmian w 1980 roku. Rozgoryczony wydarzeniami oraz tym, jak potraktowano go po latach pracy, wyemigrował z Polski i na długie lata osiadł za naszą zachodnią granicą. Przez kolejne kilka lat audycją kierowali między innymi Sławomir Szof, Tadeusz Cichomski, Andrzej Matul, Bogdan Chruścicki oraz Antoni

Mielniczuk, a dużo później krótko również Magda Jethon i Marta Kielczyk. Zmiany szefów następowały jednak bardzo szybko, niekiedy nawet co roku. Najdłużej w zespole *Lata z Radiem* (prawie czterdzieści lat!), choć nie na stanowisku kierownika, ale sekretarza redakcji, pracował Piotr Sadowski, dziś radiowy emeryt i kopalnia wiedzy o historii audycji oraz radiowej Jedynki. A tego, co wydarzyło się od 1971 roku, wystarczy na napisanie kilku takich książek. Czas więc zaczynać...



 Ten strój wymagał specjalnych wielogodzinnych przygotowań. Wszyscy modliliśmy się, by nie padał deszcz. Maryla w piórach! Koncert w Walczu, w 2013 roku.

Maryla Rodowicz





Pozdraviam
nashe Pelebin

O wielu piosenkarkach (a zwłaszcza o jednej, również opisanej w tej książce) zwykło się mówić „królowa polskiej piosenki” albo „królowa jest tylko jedna”. Przyjmując, że tamte określenia są prawdziwe, o Maryli Rodowicz trzeba by powiedzieć przynajmniej „caryca”, a najlepiej poszukać innego słowa, jeszcze bardziej podkreślającego jej zalety. Tylko czy takie słowo w naszym języku istnieje? Maryla to osoba absolutnie wyjątkowa i jedyna w swoim rodzaju. Niezniszczalna, niezatapialna, ciągle niedościgniona mistrzyni estrady, zwłaszcza takiej jak *Lata z Radiem*, zabaw sylwestrowych lub wielkich plenerowych gali. Odkryła to wiele lat temu Nina Terentiew, która najpierw jako szefowa TVP2, a później dyrektor programowa Polsatu zatrudniała Marylę przy każdej ważnej okazji i nigdy się nie zawiodła. Ja tylko skromnie idę tym śladem.

Wiele razy namawiano mnie, by nie zapraszać więcej Rodowicz na trasę *Lata z Radiem*. Robili to różni moi byli szefowie, argumentując, że czas na młodszych, że to już było albo że to tamta epoka. Nikt z nich nie miał racji, choć czasami musiałem rzeczywiście toczyć wielkie boje o Marylę. Dziwi mnie tylko, że tego nie rozumieli, ale może taka jest uroda niektórych szefów z politycznego klucza... Na szczęście nie wszystkich.

Chociaż rzeczywiście jest tak, że lata mijają, a Rodowicz pozostaje perfekcyjna i niedościgniona. Podobnie jak towarzysząca jej ekipa, przy czym mam tu na myśli nie tylko niezwykłych muzyków, od wielu lat w większości tych samych, ale też jedyne w swoim rodzaju menedżera, czyli Bogdana Zepa. Boguś (bo tak wielu ludzi w branży mówi o nim) i Maryla są po prostu dla siebie stworzeni. Proszę jednak nie myśleć, że się ze sobą nie kłócą. Czasami nawet bardzo. Jeden z takich sporów jakiś czas temu spowodował rozstanie, i to z wielkim hukiem. Minęło kilka lat, obie strony poszły po rozum do głowy, a ja myślę, że po prostu policzyły, ile tracą na tym „rozwodzie”, i... znów Maryla z Bogdanem pracują razem.

Rodowicz od lat stosuje podczas występów ten sam bardzo prosty i bardzo skuteczny patent. Po dynamicznej przygrywce robionej przez zespół (my to nazywamy fachowo „intrem”), mniej więcej po minucie, wybiega na scenę wraz z trzema urodziwymi tancerkami i chórzystkami, prezentuje się publiczności oraz fotoreporterom, po czym podchodzi do mikrofonu (ma własny, specjalny, o tym za chwilę) i pyta:

– Co mam zaśpiewać?



☐ Niezniszczalna, niezatapialna, niezastąpiona caryca Maryla Rodowicz. Na każdym koncercie w innym stroju i z innymi piosenkami. Zamość 2012.

Oczywiście w takiej chwili publiczność wykrzykuje wszystkie znane tytuły piosenek Maryli: *Małgośka*, *Remedium* (czyli „Wsiąść do pociągu”), *Sing-Sing*, *Niech żyje bal* itp. Jest tego tyle, że czasami nawet trudno wyłowić uchem, co dokładnie ludzie wołają, bo choć krzyczą bardzo głośno, to każdy chce usłyszeć co innego i każdy woła po swojemu. Rodowicz staje wtedy na skraju wybiegu (też ma własny, ze specjalnym oświetleniem) i spokojnym głosem stara się odpowiadać:

– *Małgośka*? Proszę bardzo. *Sing-Sing*? Ale oczywiście, będzie. „Wsiąść do pociągu”? Zaśpiewam, zaśpiewam, dobrze.

Publiczność to słyszy. Każdy jest przekonany, że to właśnie on dostał odpowiedź i że tak wielka gwiazda uwzględniła jego prośbę. Dziennikarze piszą później w lokalnej prasie, że Maryla Rodowicz śpiewała na specjalne życzenie publiczności. Tymczasem prawda bywa często zupełnie inna. Program koncertu jest mniej więcej ustalony. W planie są oczywiście prawie

wszystkie przeboje. Bez względu na to, co zawołają ludzie, te piosenki i tak będą. Ale liczy się efekt. A ten jest znakomity.

Inna rzecz, że Rodowicz, jeśli chce i ma nastrój, potrafi zaskoczyć i zespół, i prowadzących, i nawet menedżera. Biedny Bogdan biega wtedy pod sceną, rwąc sobie włosy z głowy, muzycy zaś wyciskają z siebie siódme poty, by sprostać zadaniu i by szefowa się nie zdenerwowała. Mimo bowiem ustalonego planu Maryla potrafi nagle zażądać zagrania zupełnie innego utworu. Biada muzykowi, który się zgubi lub zagra nie taką nutę. Nie mówiąc już o sytuacji, by ktoś nie wiedział, jak dany utwór zagrać, bo to przy dyscyplinie Maryli i Bogdana jest po prostu nie do pomyślenia. W razie pomyłki caryca potrafi się rozżłościć jak mało kto, choć sama „rozmowa” z niesformym muzykiem odbywa się dopiero po koncercie, już poza sceną. O dyskrecji trudno tu mówić, bo „wymianę zdań” (raczej jednostronną) dobrze słychać w promieniu wielu metrów. Zwykle jest tak, że muzyk, którego czekają „uwagi” szefowej, wie o tym wcześniej. Zespół więc niby gra dalej spokojnie na scenie kolejne przeboje, ale wszyscy co chwila zerkają znacząco w stronę nieszczęśnika, bo każdy wie, co się stanie, gdy tylko koncert się skończy. I biada mu, jeśli z nerwów pomyli się ponownie. Ma to swoje plusy i minusy.

Koncerty Rodowicz na trasie *Lata z Radiem* należą zdecydowanie do najdłuższych. Zwykle w standardowej umowie z każdym z artystów zapisuje się szablonowo sześćdziesiąt minut grania i śpiewania plus bisy. Przy czym za bis uznajemy dodatkowe dziesięć, piętnaście minut, czyli jeden, góra trzy utwory. Gdy chodzi o Maryłę, to po godzinie koncert dopiero na serio się rozkręca. Jeśli pogoda dopisuje, taka gwiazda gra dwie godziny albo i więcej. Bis też potrafi trwać kolejne kilkadziesiąt minut. Ponieważ każdy koncert ułożony jest według schematu – zaczyna najmniej znany artysta, kończy największa gwiazda – Maryla i jej zespół grają oczywiście na finał, czyli na końcu. I tu jest problem. Proszę sobie wyobrazić, że koncert Rodowicz rozpoczął się na przykład o 21.30. Zgodnie ze scenariuszem każdy inny wykonawca skończyłby o 22.30. Chwilę później na scenie pojawiliby się na kilkadziesiąt sekund prowadzący, zapowiedzieliby bis (niby takie zaskoczenie, bonus dla publiczności, a w rzeczywistości wszystko precyzyjnie zaplanowane) i gwiazda wystąpiłaby ponownie. Kilka lub kilkanaście minut. Później już tylko odliczanie, sztuczne ognie i... do domu, czyli do samochodu i w drogę na następną imprezę.

W wypadku Maryli Rodowicz taki plan nie wchodzi w grę. O 22.30 po prostu nic się nie dzieje, bo gwiazda śpiewa dalej. Około 23.00 zdenerwowany Boguś Zep zaczyna przestępować z nogi na nogę i zwykle drepce tam i z powrotem blisko wejścia na scenę. Około 23.15 Bogdan łapie prowadzących (najczęściej mnie) i szepce:

– Proszę cię, zrób coś! Niech ona już skończy!

Tradycyjnie robię wtedy wielkie oczy, patrzę na Zepa i mówię niby zdziwiony:

– Ja? To ty coś zrób! Jesteś przecież jej menedżerem.

Taki teatrzyk odgrywamy dość regularnie, choć obaj wiemy, że w praktyce to nic nie da. Maryla po prostu skończy dopiero wtedy, gdy uzna, że to już naprawdę koniec. I kropka. Czasami Bogdan wylicza mi, gdzie grają jutro, i dodaje:

– Wiesz, jak to teraz będzie. Ona pójdzie spać, a ja będę jechał i jechał trzysta, czterysta kilometrów!

Cóż mam odpowiadać? Mam dokładnie ten sam problem i zawsze zastanawiam się, jak długo jeszcze Maryla będzie grała.

W takich sytuacjach największe problemy rodzą się jednak w zupełnie innych miejscach. Pierwsza denerwuje się ochrona, później służby medyczne, techniczni i ekipa, która musi posprzątać po koncercie. Na ich oczach misterny plan zakończenia imprezy o planowanej porze wali się w gruzy. Publiczność jest zachwycona, bo gwiazda daje superkoncert, ale obsługa zaczyna kalkulować, do której będzie musiała pracować. Do drugiej, trzeciej w nocy? A może i dłużej? Najbardziej zdesperowani szukają wtedy organizatora (czyli zwykle mnie) i przychodzą negocjować stawki, bo wydłuża im się czas pracy. Szczerze mówiąc, często mają rację. Nie są to miłe chwile i łatwe negocjacje, ale czasami po prostu nie ma wyjścia. Bywa też, że żarty się kończą, gdy przychodzi policja i pokazuje, że zgoda na imprezę masową jest na przykład tylko do północy. I co wtedy robić?

Teraz trochę o sprzęcie Maryli. Wspomniałem wcześniej o mikrofonie. Jest przygotowany specjalnie dla niej. Pozornie nie ma w tym nic dziwnego, bo wiele wielkich gwiazd ma własne mikrofony. Czują się wtedy pewniej, mikrofon ma dostosowaną charakterystykę dźwięku do barwy głosu artysty, często też taki sprzęt jest efektownie wykończony, specjalnie dla konkretnej gwiazdy. Własny mikrofon ma zawsze ze sobą Andrzej Piaseczny



☐ Sieje postrach w całej Polsce, bo wszystko drobiazgowo sprawdza. Ale ja go uwielbiam, bo to najbardziej zawodowy menedżer, jakiego znam. Dobry duch Maryli – słynny Bogdan Zep. Rewal 2005.

(piękny srebrny), Olek Klepacz z Formacji Nieżywych Schabuff (czerwony!), Grzegorz Markowski z Perfectu (ze specjalnym statywem skróconym jak wąż) itd. W wypadku Rodowicz jest trochę inaczej. Nie wiem, czy nie zdradzam teraz wielkiej tajemnicy, ale co tam, zaryzykuję!

Mikrofon Maryli Rodowicz jest nie tylko elegancki i bardzo dobry jakościowo. Ma też podobnie jak cały system (czyli współpracujący z mikrofonem bezprzewodowym specjalny odbiornik, antenki itp.) jedną wyjątkową cechę: silnie wzmacnia głos, nie zmieniając jego barwy. Oczywiście wszystko to jest precyzyjnie wyregulowane i wcześniej ustawione. Po co? Odpowiedź jest banalnie prosta. Maryla Rodowicz występuje już na scenie tak długo, że jeżeli dalej chce to robić, musi oszczędzać i szanować gardło. Bardzo wielu śpiewających artystów o tym nie pamięta i w wieku trzydziestu–czterdziestu lat zaczynają się dramaty. Widzowie przychodzą do mnie po koncertach Maryli i mówią z uznaniem: „Tyle lat na scenie, a ciągle tak czysto śpiewa!“. Mikrofon to jeden z sekretów. Maryla śpiewa idealnie, ale... cicho. Mikrofon musi tak wzmocnić jej głos, by brzmiał jak trzeba. Gdyby ktoś inny na scenie podszedł nagle do tego mikrofonu i coś „normalnie” powiedział,

w najlepszym wypadku ryknąłby niesamowicie donośnie do publiczności. W rzeczywistości taki dźwięk byłby wtedy ostro przesterowany, czyli zniekształcony, a kto wie, czy wcześniej jakieś zabezpieczenie nagłośnienia nie zablokowałoby całego systemu, żeby coś się nie spaliło z nadmiaru mocy.

Równie precyzyjnie dobrane jest oświetlenie. Największa polska gwiazda musi dobrze wyglądać. Od kilku lat podstawową cechą tego światła jest barwa. Nie neutralnie biała, lecz w odcieniu pomarańcza i czerwieni. Tak zestawione kolory sprawiają, że nikną zmarszczki i wygląda się zdecydowanie młodziej. Ten prosty pomysł jest bardzo skuteczny. Jediną grupą bardzo niezadowoloną z takiego rozwiązania są fotoreporterzy. Występ Rodowicz jest zawsze wielkim wydarzeniem, więc pod estradą kręci się cała gromada ludzi z aparatami fotograficznymi. W dużych miastach są to przedstawiciele agencji fotograficznych obciążeni drogim profesjonalnym sprzętem, w mniejszych miejscowościach więcej jest amatorów, wolnych strzelców i tak zwanych dziennikarzy społecznościowych z amatorskimi kamerami. Zawsze jest to jednak spora grupa osób, które często dość skutecznie wzajemnie sobie przeszkadzają i depczą po nogach obsłudze obok estrady. Dodatkowo nerwową atmosferę wywołuje fakt, że gwiazdę wolno fotografować tylko podczas trzech pierwszych utworów.

Nie ma w tym nic dziwnego. Wielu artystów z pierwszej ligi stawia taki warunek i Maryla Rodowicz nie jest tu żadnym wyjątkiem. Uzasadnienie jest bardzo proste. Przed występem gwiazda ma robiony profesjonalny makijaż. Jeżeli się biega i skacze po scenie, zwłaszcza latem, gdy temperatura (nawet po 22.00) jest stosunkowo wysoka, twarz po prostu się poci i po kilkunastu minutach nawet najlepszy makijaż powoli się rozplywa. Tego nikt nie chce widzieć na fotografiach. Pół biedy, jeśli amator robi zdjęcie prostym aparatem z daleka. Twarz jest mała, niezbyt wiele widać, ot gdzieś tam ta niewielka kreska to stojąca na kolorowo oświetlonej scenie słynna piosenkarka. Problem zaczyna się przy zawodowcach z drogimi teleobiektywami. Tu można pokusić się o dobre zbliżenie, na którym wszystko widać bezlitośnie. Stąd ograniczenie czasu fotografowania do trzech pierwszych piosenek. Później do akcji rusza ochrona i sprawnie wyprasza maruderów próbujących przeciągać czas. Zwykle jednak zawodowcy szanują prośbę gwiazdy i jej menedżera.

Czerwonopomarańczowe światło na scenie i na twarzy najważniejszego artysty zaskakuje wielu fotografów. Zapewne większość z Państwa ma

własny cyfrowy aparat fotograficzny. Proszę spróbować zrobić nim zdjęcie czegoś jaskrawo czerwonego lub intensywnie pomarańczowego. Teraz popatrzmy na wyświetlacz. I co? Dziwnie wyszło, prawda? Cyfrowe matryce w nowoczesnych aparatach mają to do siebie, że najbardziej nie lubią właśnie czerwieni. Intensywna czerwień połączona z odcieniem pomarańczowym na zdjęciach daje zazwyczaj zupełnie inny odcień. Bywa, że widać też dziwne ciemniejsze kropeczki, czyli, fachowo mówiąc, piksele. A to tylko początek kłopotów. Oczywiście w drogim profesjonalnym sprzęcie da się wyregulować ręcznie tak zwany balans bieli i to poprawić. Ale na to potrzeba czasu. A tu tylko trzy pierwsze utwory! I ciągła przepychanka pod sceną! Sytuację można ratować lampą błyskową, ale to znowu problem sprzętu – potrzebna jest kosztowna, bardzo silna lampa dużej mocy, a także wiedza, bo siłę błysku trzeba umiejętnie ręcznie ograniczyć. Inaczej, błyskając bez opamiętania lampą, wyeliminujemy naturalne oświetlenie sceny, tak ważne w czasie występu i nadające każdemu zdjęciu właściwy klimat. Na zrobienie korekty w lampie znów trzeba prób i czasu i koło się zamyka.

Maryla Rodowicz przykłada również wielką wagę do strojów. Są artyści, którzy najpiękniejsze kreacje rezerwują na koncerty w dużych miastach oraz transmisje telewizyjne. W trasach bywa z tym różnie. Na tym tle Maryla jest absolutnym wyjątkiem. Jedyną osobą, która potrafi dorównać carycy w perfekcyjnym doborze kostiumu, jest Doda, ale to już zupełnie inna historia, do której też dojdziemy. Przyszaję, że nie wiem, kto tego pilnuje, ale Rodowicz każdego dnia potrafi wyjść na scenę w zupełnie innej kreacji. Gdy po pewnym czasie ponownie występuje w tym samym mieście, można mieć pewność, że strój będzie całkiem nowy. Przy tak wielu koncertach wymaga to bardzo starannego planowania i wożenia ze sobą wielu waliz z ciuchami. Zawsze jest kolorowo, bajecznie, trochę z ocierającą się o kicz przesadą, ale akurat do tej gwiazdy to idealnie pasuje.

Pamiętam, w jakim szoku pozostawiła mnie Maryla latem 2012 roku, kiedy pierwszy raz obszernie transmitowaliśmy koncerty *Lata z Radziem* w internecie. Graliśmy kilka imprez dzień po dniu. Miasta były odległe od siebie o ponad dwieście kilometrów. Podczas pierwszego występu Rodowicz zaprezentowała niezwykle efektowy strój z piórami. Był oszałamiający i rewelacyjny! Wszyscy spodziewali się, że następnego wieczoru znów w nim wystąpi. Był nowy, w kolejnym mieście nikt nie miał szans go wcześniej

zobaczyć. A jednak... Maryla wyszła na scenę ubrana inaczej (też doskonale) i ku naszemu zaskoczeniu zaśpiewała też zupełnie inny zestaw piosenek. Skąd ta zmiana?

– Maryla dowiedziała się o relacjach na żywo w internecie – wyjaśnił mi Boguś Zep. – Usłyszała o tym przypadkiem od zachwyconych fanów ze Stanów Zjednoczonych, którzy w nocy po koncercie zasypali ją pełnymi entuzjazmu mailami. Rano to przeczytała. To nieważne, że miasto jest inne. Maryla wie, że dziś znów obserwują ją ci sami wielbiciele zza oceanu. I to dla nich się zmienia!

Tamtego lata graliśmy w *Lecie z Radiem* z kilkudziesięcioma różnymi artystami. Nikt inny (nie licząc Andrzeja Piasecznego, który transmisji... zakazał) nie zwrócił na relacje w sieci żadnej uwagi. Tylko Maryla.

Szacunek dla widzów pod sceną i daleko przed ekranem komputera to w wypadku Rodowicz bardzo długa opowieść. Przychodzą mi do głowy jeszcze dwa przykłady. Pierwszy bardzo prosty i miły. Po zakończeniu każdej imprezy ekipa gwiazdy stawia obok podium stolik z parasolem. Do tego dwa reflektory i krzeselko. Najpóźniej pięć minut po koncercie Maryla siada tam i rozdaje autografy. Wszystkim! Nie przez kilka chwil, jak większość innych. Nie tylko tym, którzy kupili najnowszą płytę i ściskają ją w ręce. Wszystkim bez wyjątku, co czasami zajmuje jeszcze dobrą godzinę i absorbuje kilka osób z ochrony, zwłaszcza gdy dodatkowo robione są pamiątkowe zdjęcia.

Drugi przykład to trochę dłuższa historia. Koncert sprzed wielu lat w Świeradowie-Zdroju. Koniec sierpnia. Wyjątkowo zimno. Tym bardziej że Świeradów ma specyficzny mikroklimat i po dziesiątej temperatura na stadionie u podnóża gór potrafi nawet pod koniec letnich wakacji spaść błyskawicznie do zaledwie czterech, pięciu stopni powyżej zera. Jak na złość tego dnia pogoda była fatalna od samego rana. Praktycznie non stop padał deszcz, raz mocniej, raz słabiej. Część stadionu była już zalana wodą tak, że ciężarówki wożące nasz sprzęt – estradę i oświetlenie – jechały po specjalnych podkładach. Włodarze miasta biegali zaniepokojeni, czy nie zechcemy odwołać imprezy, co ze względu na pogodę – zgodnie z zapisami w umowie – mogliśmy bez problemów zrobić. Wiele zależało od Maryli i jej zadnia.

– Zagramy – powiedział mi Zep po konsultacjach z gwiazdą. – Ale zrób wszystko, by zacząć jak najwcześniej i szybko skończyć, bo w taką fatalną pogodę to nie ma większego sensu. Jeszcze mi się Maryla przeziębi – poprosił.



☐ Taki widok z kilku kamer ma przed sobą nasz realizator wizji. Od 2013 roku wszystkie koncerty są transmitowane w internecie. Szczegóły na latozradiem.pl


Przyspieszając konkursy, udało nam się minimalnie nadgonić czas. Nie była to jednak wielka zmiana. Deszcz cały czas padał, choć akurat na samym początku występu Rodowicz jakby trochę osłabł. Nasza gwiazda, nie zważając na warunki, wyszła w nowej pięknej kreacji i zaczęła śpiewać. Ochrona dygotała z zimna. Muzycy walczyli z rozstrajającymi się od zimna instrumentami. Światła z trudem przebijały się przez wodną mgiełkę, a może już przez górską mgłę? W efekcie pod samą sceną widać było tylko ciemne, zmoczone od wielogodzinnego stania kaptury fotoreporterów, a dalej las otwartych parasolek trzymany przez publiczność. Wszystko było w miarę dobrze do piątego utworu. W połowie *Remedium* najpierw zerwał się silny wiatr, a chwilę później nad stadion nadciągnęła ściana deszczu. Dosłownie przestaliśmy cokolwiek widzieć.

Natychmiast przybiegł do mnie Bogdan Zep, krzycząc z daleka:

– Kończymy! Kończymy!

Nie namyślając się wiele, złapałem mikrofon (sprzęt prowadzących stoi zawsze włączony tuż obok schodków na scenę) i ruszyłem na estradę.



 Fani zrobią wszystkol Oto dowód. Karpacz, trasa w 2005 roku. Wielbiciel Maryli przyprowadził jej swojego... wielbłąda. Maryla pogłaskała, pokarmiła, ale nie wsiadła.

Po drodze zobaczyłem jeszcze oczy szefa techników, który – jak się okazało – stał już na górze i gdy przechodziłem obok, powiedział mi do ucha:

– Im szybciej, tym lepiej, zaraz nam wszystko zaleje!

Gdzieś z tyłu biegł za mną, skacząc między kałużami, Bogdan Sawicki, który do tej pory chronił się przed ulewą w namiocie-garderobie.

Gdy wszedłem na scenę, moim oczom ukazał się przedziwny widok. Kompletnie zmoczeni muzycy chowali się z tyłu sceny. Przy silnym wietrze i ulewie było to jedyne miejsce, gdzie deszcz prawie nie docierał. Choć instrumenty były całkowicie mokre, oni... grali! Brzmienie dźwięku było już dalekie od Marylowego ideału, ale coś tam jeszcze było słycać. Z przodu na wybiegu stała nasza gwiazda. Pozbawiona jakiegokolwiek osłony była całkowicie mokra. Z pięknego stroju nie zostało praktycznie nic. Zalane wodą pióra oklapły. Włosy były jedną wielką płataniną ociekających strąków. A gdy Rodowicz, słysząc zamieszanie za plecami, odwróciła się w moją stronę, zobaczyłem, że makijaż spływa jej strugami po twarzy, zostawiając wielkie

kolorowe smugi. Maryla najpierw wyciągnęła rękę i wykonała taki gest, jakby chciała zatrzymać mnie i Bogdana, po czym odwróciła się w kierunku publiczności i powiedziała:

– Skoro państwo nie odeszli, tylko zostaliście ze mną i mokniecie w tej ulewie, to ja też zostanę, też będę mokła i śpiewała dalej!

Przez kolejnych kilkanaście minut Zep wyrwał sobie resztkę włosów z głowy, a kierownik naszej ochrony trzy razy zmieszał mnie z błotem za skrajną nieodpowiedzialność, żądając natychmiastowego zakończenia koncertu z przyczyn bezpieczeństwa. Tylko szef techników nic nie mówił. Siedział na skrzynce z kablami i chował głowę w dłoniach, mamrocząc cicho pod nosem:

– Nigdy tego nie wysuszemy, nigdy tego nie wysuszemy...

Maryla zaśpiewała jeszcze cztery utwory, nim bezpieczniki odcięły zasilanie i wszystko wysiadło.